Nr. 40. Rok III.

Warszawa—Łódź—Poznań—Katowice

od 1. X. do 7. X. 1923 r.



TEATR I KINO

CENA NUMERU **6000** Mk.

No. 40. Rok III.
Warszawa-Łódź-Poznań-Katowice
od 1. X. do 7. X. 1923 r.

TEATR I KINO

Pismo ilustrowane poświęcone sprawom teatru, muzyki, sztuki, kinematografu, wraz z programem wszystkich widowisk w Warszawie i Poznaniu na cały tydzień.
Redakcja i administracja: Poznań, Fr. Ratajczaka 11 a.
Konto czekowe P. K. O 204 748.

Kilka uwag.

W czasopiśmie „Życie teatru", które zaczęło wychodzić w Warszawie, znakomita tragiczka nasza, p. Wysocka, zamieszcza artykuł pod interesującym tytułem „Aktor przyszłości". Jest to niepokojący problem dla każdego fachowca, jak będzie wyglądało w przyszłości jego metiér, jaką drogą rozwoju pójdą te czynniki, które pozwalają już osiągnąć pewne rezultaty i czy nadewszystko mają szanse usprawiedliwić te marzenia, którym się oddają rozmiłowani w swoim zawodzie specjaliści.

Istnieją zatem fantazje (i zawsze istniały) na tle komunikacji powietrznej, porozumienia się z domniemanymi mieszkańcami Marsa, straszliwych wojen, nietylko między narodami — ale światami i t. d. W tych wszystkich fantazjach Verne'a i Welle'a biorą udział znakomici inżynierowie, którzy dzięki swym świetnym wynalazkom potrafią czynić prawdziwe cuda. Wszystkie te powieściowe zdobycze naukowe, wyposażone w hypotetyczne obliczenia, aczkolwiek później w pewnym stopniu zostały urzeczywistnione, nie mniej istota fantastyczności tych utworów została niezmienna — od skromnej polowej armatki, do grubej Berty, strzelającej na 80 kilometrów, jest wielka różnica, to prawda — ale jeszcze większa różnica istnieje od „grubej Berty" — do armaty, która wypuszcza pocisk na księżyc — i to pocisk, w którego wnętrzu siedzą ludzie, pragnący przespacerować się po księżycowych polach.

Nie widząc zatem nic dziwnego w tem, że generał Rewentlow pisząc fantazję wojenną — i przepowiada w niej nieprawdopodobny triumf Niemiec nad całą Europą — nie mogę się dziwić również, że pani Wysocka, kochająca nie mniej swój zawód, od generała Rewentlowa, przepowiada również — zjawienie się w przyszłości aktora, który między ludźmi ma zajmować mniej więcej podobne miejsce — jakie między armatami zajmowałoby owe wspaniałe działo, wypuszczające pocisk na księżyc.

Nie mam najmniejszego zamiaru twierdzić, że jest to niemożliwością. Na drodze wynalazków genjusz człowieka doszedł do tak wspaniałych rezultatów, że niepodobna stawiać mu jakichkolwiek granic. Od nieudolnych prób Santos-Dumonta, naprzykład do dzisiejszych powietrznych linji pasażerskich — od konnego posłańca z listem, do

dzisiejszego telegrafu iskrowego — jest taka kolosalna przestrzeń, że jestem gotów się zgodzić nawet i na to, że aktor przyszłości „przejdzie ogromną duchową i cielesną tresurę. Od sztuki pojedzie do siebie. Zrobi się pięknym". Jeżeli jednak zabieram głos w tej sprawie, pozwalając sobie uczynić kilka uwag z powodu artykułu p. Wysockiej, to dlatego, że mimo iż nie upieram się przy niemożliwości strzelania na księżyc ze względów zasadniczych, nie mniej bardzo w to wątpię, i gdyby chciano mi przypuszczam, ofiarować 100 akcji fabryki wyrabiającej podobne armaty, to bym nie kupił ani jednej, chociażby je sprzedawano po marce niemieckiej za sztukę. Z tych samych powodów nie ufam w możliwość urzeczywistnienia w życiu fantazji p. Wysockiej, na tle tak kolosalnego rozwoju aktorskiego metiér. Nie ufam dlatego, że „hypoteczne obliczania" p. Wysockiej, są zbyt chaotyczne. Verne, w swej powieści p. t. „20.000 mil podwodnej żeglugi" jest bardziej zbliżony do możliwości. Jego liczby dają złudzenie prawdy. Dowodzenia p. Wysockiej obracają się niejako w kategorjach frazesu. Cóż bowiem może znaczyć takie zdanie, wypowiedziane o „aktorze przyszłości": „Żadna **nieoczekiwana** niespodzianka nie będzie mu w stanie przeszkodzić". Cóż to będzie za niezwykły człowiek. I to nie jeden, ale wszyscy. Wszyscy aktorzy będą takimi niezwykłymi ludźmi, którym żadna **nieoczekiwana** niespodzianka nie będzie mogła przeszkodzić. Żadna?... a naprzykład gdy niespodzianie zleci mu żyrandol na głowę, czy także nie przeszkodzi mu to do dalszej gry?... Chciałbym również zobaczyć tego „aktora przyszłości" w następującej sytuacji:

Pani Wysocka pisze: Aktorowi naturalistycznemu (t. j. takiemu jaki jest obecnie) — niezbędne są akcesorja-pomocnicy. Potrzebna mu jest poręcz krzesła, aby się uwolnić bodaj od jednej ręki, opierając się na niej. Potrzebny stół, o który się można oprzeć i choć przez chwilę odpocząć od myśli, co zrobić z rękami. Potrzebne są rozmaite przedmioty, przy których można stanąć w pięknej pozie. Aktor przyszłości nie będzie potrzebował żadnych pomocników. **Wszystko będzie zapełniać sobą, swoim ruchem.** Będzie mu zawsze wygodnie." Przypuśćmy, że mu będzie wygodnie, gdy „wszystko" będzie zapełniał „sobą", „swoim ruchem". Należałoby się jednak dowiedzieć co znaczy owe: „wszystko". Jak można **wszystko** zapełniać „sobą i swoim ruchem"? To jest stanowczo bardziej fantastyczny pomysł, niż podróż na księżyc. A teraz jeszcze jedna uwaga. Czy pani Wysocka istotnie przypuszcza, że tacy „naturalistyczni aktorzy, jak Frenkiel, Kamiński, Chmieliński, Węgrzyn, Leszczyński, Osterwo, Junosza-Stępowski, dlatego opierają się o poręcz krzesła, „że nie wiedzą co zrobić z rękami..." A zresztą, po przeczytaniu całego artykułu p. Wysockiej, niewiadomo co

szanowna autorka wogóle rozumie pod określeniem „naturalistyczny", gdyż mimo to, że występuje z fanatyczną nienawiścią przeciw naturalistycznemu teatrowi i głosi proroctwa o aktorze przyszłości, o dziwo nad dziwami miesza te dwa pojęcia. Oto przykład:

„Żródłem, z którego bierze swój początek sztuka jest natura, źródłem życia jest także natura. Naturalistyczny teatr twierdził zawsze, że od niej wychodzi. Ale jakże to uczynił? Przyjmował za naturę — życie. Zatruwał się przyzwyczajeniami życiowemi, które nagromadziły wieki: Stał się naśladowcą życia. Zubożył dusze. Zrobił aktora tym X, który we wszystkie odtwarzane postacie wtłaczał swoje ciasne X. Nieco niżej:

„Pamiętam słowa znakomitego kierownika **wzorowego naturalistycznego** teatru K. Stanisławskiego po jednem z przedstawień „Wiśniowego Sadu" Czechowa, jeszcze pełnego przeżywań roli Gajewa: Myśmy się tak zrośli z naszą mise en scène, że gdyby mi pewnego razu przedstawiono tę szafkę, z którą się żegnam przed wyjazdem (tu z miłością pogłaskał szafkę ręką) w inne miejsce, napewno przestałbym się czuć Gajewem". **Aktor przyszłości napewno powie z takiem samem przekonaniem:** „Gdybym stanął nie na tem miejscu, gdzie powinienem, gdybym zrobił nie ten gest, który wiązałem z wewnętrznym ruchem, to by zepsuło całą harmonję. **I aktor ten nie powie nic nowego.** Takim był Królikowski — o którym z przekąsem opowiadano, że zawsze tych samych gestów w danej roli używał, że deski wyliczał na podłodze scenicznej. Taką była nieporównana posągowo-plastyczna Modrzejewska". A zatem mieliśmy już aktorów „przyszłości". Byli niemi Modrzejewska i Królikowski. Obecnie natomiast mamy takich, „którzy nie wiedzą co zrobić z rękami" — i dlatego potrzebują pomocników w postaci krzeseł, stołów, szaf, fortepianów i t. d. Rzecz prosta, że w teatrze „przyszłości" podobnych akcesorji nie będzie. Natomiast przyszły aktor „wszystko" będzie zapełniał sobą i swoim ruchem". W teatrze przyszłości również — jak zapewnia pani Wysocka — „intelekt będzie panować nad duszą". To nie znaczy aby dusza miała być pokrzywdzona — mówi autorka. Boże uchowaj! **Prawdopodobnie będzie ona musiała być bardziej subtelną,** niż w teatrze przeszłości, tylko intelekt będzie nadawał **formę jej odruchom.** Jestem niezmiernie ciekawy, co pani Wysocka nazywa duszą — i czy istotnie wyobraża sobie teatr jako pewnego rodzaju mechanizm, w którym „nic przypadkowego być nie może", a natomiast ma być (ten teatr) pełen harmonji i rytmu, podobnie jak muzyka i taniec", chociaż intelekt będzie panował w nim nad duszą".

Nie, wolę wierzyć w możliwość rozmowy przez telefon z ludźmi Marsa. Fantazje pani Wysockiej na temat teatru nie mają najmniejszej siły sugestywnej. Nie podobna

bowiem uwierzyć, aby aktor „przyszłości“, który będzie podobny do Królikowskiego, wypełniał „wszystko“ „sobą i swoim ruchem“.

A przytem styl znakomitej polskiej artystki nie dodaje wiary. Zbyt nam przypomina smutne typy powracających z Rosji emigrantów, którzy będąc w ciężkich warunkach na obczyźnie, zapomnieli nieco jak się należy wyrażać po polsku. Nie mam zaufania do rosyjskich proroctw. Pocieszam się jednak nadzieją, że przepowiadany przez p. Wysocką aktor „przyszłości“ jeżeli nie spełni wszystkich nadziei — to przynajmniej będzie znał dobrze swój ojczysty język. A to wiele znaczy nawet dla aktora... współczesnego. **St. Kiedrzyński.**

Przegląd muzyczny.

Madame Pompadur.

Czterech jest władców nowoczesnej operetki, których nazwiska zna każdy kulturalny człowiek na obu półkulach: Lehar, O. Strauss, Kalman i Fall. Wszystkich czterech wydała na świat dawna monarchja austrjacko-węgierska, ojczyzna walca, gulaszu, cygar virginia i beztroskiego poglądu na świat. Bo i rzeczywiście poza wiedeńczykami — choćby jak Fall pochodzili nawet z Ołomuńca — niema majstrów w równie zręczny, miły i artystyczny sposób umiejących przyprawiać swe muzyczne lekkie dania, na których później robią grube pieniądze, zaś artyści też pieniądze i sławę. Styl berliński, który najznakomitszego swego przedstawiciela ma w Gilbercie nie zdołał sobie zjednać ani połowy tej liczby zwolenników ile ich ma styl wiedeński. W operetce wiedeńskiej pierwszą rolę gra śpiew, w berlińskiej taniec. Tu owiane lekkim czarem poezji zwroty melodyjne, tam ostre (niekiedy bardzo ciekawe!) figury rytmiczne.

Z czwórki owych operetkowych potentatów Leo Fall stanowczo umie najwięcej. Brak mu może tego szerokiego polotu i inwencji melodyjnej, która cechuje Lehara, ale zato jest od niego znacznie finezyjniejszy, głębszy i czystszy w formie. Jest przytem tak bardzo ciekawym harmonistą, na co szczególną zwracam uwagę, oraz doskonałym instrumentatorem. Karjerę swoją jako muzyk rozpoczął bardzo poważnie od opery „Błędne ogniki“. Opera ta nie spotkała się z życzliwością publiczności i już po jednem przedstawieniu zeszła z repertuaru, aby nań nigdy dotychczas nie wrócić.

Ale Fall nie ugiął się pod ciężarem niepowodzenia. Zakasał rękawy i wziął się do operetek. Już pierwsze z nich miały duże powodzenie, a dalsze jak „Księżniczka dolarów“ i „Rozwódka“ uczyniły swego twórcę sławnym w całym świecie. W utworach tych było jeszcze bardzo dużo „szlagerów“ — ale i tam już pewna szlachetność stylu i pomysłowość bardzo silnie odbijała od ma-

sowej produkcji wiedeńskich drugorzędnych fabrykantów operetek. Z czasem Fall coraz bardziej szlachetnieje i poważnieje, nie tracąc jednakże pełnej finezji lekkości i nigdy nie stając się nudnym.

„Mądame Pompadur“ jest na drodze rozwoju talentu Falla punktem kulminacyjnym. Jeszcze krok, jeszcze pół kroku może a „Madame Pompadur“ stałaby się operą komiczną. Może zresztą już nią nawet jest — a tylko my, współcześni za ostro ją sądzimy, tę śliczną grzesznicę w białej peruce i pamiętając Falla z Rozwódki, zanadto jesteśmy dlań surowi.

„Madame Pompadur“ jest melodyjnie bardzo ładna, rytmicznie ciekawa, zaś instrumentacyjnie imponująca. Styl epoki utrzymany jest dobrze, a że się tam w ów świat peruk i żabotów zaplątało jedno niewinne shimmy — to ostatecznie nikomu to nie szkodzi, a publiczność musi przecież mieć jakiś szlager, który publiczność nuci sobie, wychodząc z teatru, a orkiestry grają po restauracjach. Zresztą owa piosnka „Józiu...“ będzie napewno clou jesiennego — a kto wie? — może i zimowego sezonu. Kto wie? Tymczasem miła salka teatru Wodewil jest codziennie poprostu przepełniona. Dyrektorzy nie posiadają się z radości z powodzenia i ze wstrętem odrzucają myśl o dawaniu „Kartek“. Cóż robić i ja muszę się cieszyć z ich powdzenia — choć może chętnie wziąłbym parę karteczek. Wybór „Madame Pompadour“ na otwarcie sezonu przynosi zaszczyt dobremu smakowi tych, którzy ją wybrali. Wystawa i opracowanie muzyczne więcej niż staranne. Gdyby tak jeszcze nasze orkiestry operetkowe nieco bardziej piano akompanjowały śpiewakom, zwłaszcza tym, którzy nie mają dużych głosów, byłoby to osiągnięciem ideału. W Wiedniu słyszy się na sali każde słowo śpiewanego tekstu.

O wykonawcach nie piszę, gdyż tym razem inne pióro zajęło się ich kreacjami i czytelnicy nasi na innem miejscu znajdą ocenę z artystycznych dokonań. **W. P.**

Ostatnie warszawskie wystawy plastyczne.

Zachęta rozpoczęła sezon zbiorowym pokazem prac Józefa Rapackiego. Wystawa nie dała nam jednak, poza stwierdzeniem wielkiej pracowitości artysty, nowych przyczynków w kierunku rozszerzenia czy pogłębienia talentu malarskiego Rapackiego. Pojmowanie i ujmowanie krajobrazu opiera się u niego na najbardziej, jakie sobie można pomyśleć, konwencjonalnem patrzeniu na świat, wykluczającem niemal zupełnie jakąkolwiek osobistą cząstkę artysty.

* * *

O wiele więcej interesującą okazała się następna wystawa: grafika Wyczółkowskiego i grupa „Sursum corda“.

Wyczółkowski jest artystą o olbrzymim temperamencie, bardzo subtelnem oku ma-

larskiem, odczuwającym żywiołową radość na widok modela żywego czy martwego, i umiejącym tę radość suggerować widzowi w stopniu bardzo potężnym.

Opanowawszy wszelkie arkana techniki malarskiej, olejnej czy pastelowej, rysunkowej i graficznej, zwłaszcza litografji jednó i wielobarwnej, Wyczółkowski pracuje z młodzieńczym rozmachem, męską dyscypliną, a mądrością starca.

Jego obecna wystawa graficzna w dolnych salach Zachęty, (ze zbiorów Witke-Jeżewskiego) jest prawdziwym wypadkiem w artystycznem życiu Warszawy.

* * *

Wystawa grupy „Sursum corda" obejmuje obrazy i szkice do polichromji pp. Stabrowskiego, Wandy Gentil-Tippenhauer i Bryknera.

Kazimierz Stabrowski wystawił przeszło setkę krajobrazów i kilka kompozycji. O ile część jego krajobrazów pastelowych ma poważne zalety malarskie, o tyle wielkie kompozycje olejne rażą jakby pewnym anachronizmem. Zamalowywanie olbrzymich płócien literackimi tematami przypomina czasy opisywane w „Cyganerji" Murgera a w najlepszym razie epokę, o której opowiada „Ta trzecia" Sienkiewicza.

Projekty do polichromji kościelnych pp. Gentil-Tippenhauer i Bryknera mają duże zalety dekoracyjne.

* * *

W ostatniej sali pierwszego piętra w Zachęcie wystawiono projekty na pomnik „Polski Wyzwolonej", które są odpowiedzią na konkurs, ogłoszony przed paru laty przez warszawską „Rzeźbę".

Wśród 13 prac znajduje się kilka, które zwracają uwagę oryginalną kompozycją (nr. nr. 1, 2, 5, 9, 10). Mojem zdaniem najwięcej zalet, jeśli chodzi o oryginalność i możliwość realizacji, nosi nr. 5. Projekt ten obiera za podłoże pomnika t. zw. „Bramę Traceń", zwaną także „Bramą Okrzeji", wiodącą do Cytadeli od strony Wisły i na tej bramie dokonywuje resztę pomnika, t. j. postać Nike u góry, nad bramą, a figury Traugutta i Okrzeji przed bocznymi pilastrami.

* * *

Z wystaw w Salonach prywatnych wspomnieć wypada pokaz prac Tytusa Czyżewskiego w Salonie Garlińskiego przy Mazowieckiej, odznaczających się wielkiemi zaletami kolorystycznemi.

F. L.

Jak powstaje film?

Przed kilkoma dniami miałem sposobność podczas przedstawienia w jednem z warszawskich teatrów świetlnych przekonać się, że właściwie historja powstania filmu jest większości publiczności nieznana.

Coś podobnego jak n. p. z tramwajami elektrycznymi. Idzie, idzie, ale dlaczego?

Współczesne życie, tak bogate w codzienne zastosowanie najrozmaitszych wynalazków technicznych, stawia nas codziennie wobec tylu najrozmaitszych zjawisk, że nieźle jest jednak od czasu do czasu zastanowić się nad pytaniem: dlaczego? jak?

Gdybyśmy natarli z ankietą na naszych bliźnich, pokazałoby się, że niejeden z ludzi w mundurze inteligenta (krawatka, surdut i chusteczka do nosa) nie zdaje sobie sprawy z tego, dlaczego jedzie samochód, a dlaczego lokomotywa?

Nie wstydźmy się więc poświęcić paru minut zastanowienia się nad pytaniem, jak powstaje film, a kiedy siedzimy w wygodnym fotelu przed ekranem, nie zadawalniajmy się jedynie wiadomością, że „coś się kręci".

Aparat operatora filmowego nie jest w zasadzie niczem innem, jak zwykłym aparatem fotograficznym, przed którym pozowały już nasze babki. Różnica polega na tem, że zamiast dawnych klisz szklanych, przesuwa się w głębi aparatu wstęga celuloidowa, szeroka na 3 i pół centymetra, poruszana ręką operatora. To przesuwanie odbywa się w takiem tempie, że na sekundę otrzymuje się około 15 zdjęć, a połączona z korbą operatora blenda automatycznie 15 razy na sekundę zamyka się i otwiera.

Wstążka celuloidowa pokryta jest cieniutką warstwą emulsji (podobnie jak dawne szklanne klisze), tworzącą jakby błonę, po angielsku film. Stąd międzynarodowa nazwa filmu. Takie klisze celuloidowe znane były w fotografji już przed wynalezieniem kinematografu. One dopiero pozwoliły zbudować pierwszy aparat kinematograficzny, z 15 zdjęciami na sekundę. Stało się to w roku 1895 w Paryżu, a konstruktorami tego pierwszego aparatu byli dwaj bracia, August i Ludwik Lumiere.

Film służący do otrzymania zdjęć, a wymagający bardzo silnego światła, słonecznego czy sztucznego (niejednokrotnie obydwa oświetlenia kombinuje się razem) zowie się pospolicie negatywem. Z niego, po zwykłem utrwaleniu, kopjuje się drugą wstęgę, zwaną pozytywem, przeznaczoną do wyświetlania na ekranie. Pozytyw jest kopjowany przy świetle o wiele słabszem, i stąd inna jest emulsja chemiczna na jednym i na drugim filmie.

Pozytywy i negatywy wytwarzane są w specjalnych wytwórniach wstęgami po 60 i 120 metrów. Każda wstęga jest opatrzona dziurkami w tym celu, aby zębate kółka w aparacie robiącym zdjęcia czy wyświetlającym na ekranie, mogły film chwytać i przesuwać. To dziurkowanie jest operacją wymagającą wielkiej staranności, gdyż im lepiej są zrobione, tem powolniej film się zużywa. Dziurki źle zrobione, to wyrok na rychłą śmierć filmu.

Wyświetlanie negatywu jest rzeczą trudną i skomplikowaną i dlatego najczęściej dokonywa go sam operator. Doskonałość zdjęć zależy od technicznej sprawności i doświadczenia operatora, i dlatego nazwisko jego figuruje na ekranie na równi z nazwiskiem autora scenarjusza, reżysera (metteur en scene) i głównych aktorów.

Tych kilka uwag ma na celu przypomnieć po krótce jedynie zasadę „filmowania", nie poruszając tysiąca drobnych szczegółów technicznych. **F. L.**

Z Teatrów Warszawskich

W Letnim.

Pokazuje się, że stary drewniak w ogrodzie Saskim nieda się odnowić nawet, gdy go odmalują. Odmalowano go pod okiem takiego mistrza dekoracji, jak p. Drabik, a jednak stara rudera nadal została starą ruderą. Tylko tyle, że czuć klejową farbę.

Inauguracja lekkiej komedji pod dy-

rekcją znakomitego artysty, p. Antoniego Fertnera, wypadła dość blado. P. Fertner jest bezkonkurencyjnym komikiem, ale w farsie pp. Nowiny i Tatarkiewicza nie miał pola do popisu. Trzeba stwierdzić, że wybór tej farsy się powiódł nowemu kierownikowi literackiemu. „Szukajcie murzyna!“ to pozór farsy francuskiej z kilkoma niezłymi dowcipami. Ten sceniczny pozór nie uwiódł publiczności warszawskiej. Pozatem wykonawcy nie umieli mieć humoru, ani dowcipu. Cała prasa przyjęła sztukę i interpretację bardzo chłodno.

W Komedji.

Przemiły i wprost rozkoszny pan Grabowski króluje w „Dniu cudów“, lekkiej, dowcipnej, wesołej komedji paryskiej, która w stolicy świata była oklaskiwana przez dwieście wieczorów z rzędu. P. Mirande pastwi się śmiechem nad lekarzem i aptekarzem, ale głównego bohatera sztuki, młodego aptekarczyka pieści śmiechem i honoruje. Rozumiemy autora, patrząc na p. Grabowskiego. P. Grabowski podbija wszystkie serca. Dla niego w „Komedji“ jest pełno.

Nie opowiemy treści „Dnia cudów“, aby nie psuć wrażenia przyszłym spektatorom, którym niespodzianka akcji jest droga. Niechaj nam wierzą na słowo, że pp. Mirande i Grabowski warci są, aby im poświęcić wieczór.

P. Janusz dobrze wyreżyserował „Dzień cudów“, a w drugim akcie otrzymujemy przegląd tualet damskich.

W Wodewilu.

Wielki tryumf artystyczny odniosła p. Kazimiera Niewiarowska w prześlicznej operetce Falla p. t. „Madame Pompadour“. Już dawno nie widziała Warszawa tak świetnej operetki i tak znakomitej kreacji, jak ta, którą p. Niewiarowska daje w postaci wszechwładnej faworyty Ludwika XV-ego. Na tle czarownej muzyki, piękny śpiew i mistrzowska gra aktorska tej olśniewającej gwiazdy. A w dodatku p. Niewiarowska wygląda, jak drogocenne cacko wykwintnej sztuki osiemnastego wieku. Jest zachwycająca i dowcipna i w każdym kostjumie powabniejsza! Obok niej świeci wdziękiem i krzepnącym talentem p. Janina Sokołowska. Główne role męskie spoczywają w tak niezawodnych — powiedzmy — rękach, jak pp. Redo, Szczawiński i Morozowicz.

Widownia grzmi od oklasków. Madame Pompadour króluje ponownie, w dwudziestym wieku, i tym razem ku najpowszechniejszemu ukontentowaniu.

——⊙——

TEATRZYKI

„Qui-Pro-Quo.“

„Będzie lepiej!“

Zapowiedź ta, niestety, nie wyszła z pałacu przy Krakowskiem Przedmieściu. Optymistyczny okrzyk „będzie lepiej!“ rozbrzmiał z podziemi Luxenburga i zwołuje codziennie tłumy, chcące te magiczne słowa

usłyszeć na własne uszy. Może istotnie będzie lepiej, skoro istnieją jeszcze tacy przemili wesołkowie, którzy nawet rzeczy prawdziwie smutne umieją pokazać z wesołej strony, a chociaż ich śmiech jest często zjadliwy, jednak ukłucia tej broni więcej łaskoczą niż ranią. Przegląd satyryczny naszych stosunków politycznych i społecznych jest w większości numerów tak dowcipny i wesoły i tak znakomicie wykonany, że nie zdoła go zepsuć nawet śpiew (tak!) p. Jastrzębca, o którym jednak już można powiedzieć, że „będzie lepiej", jeżeli będzie grywał dyplomatów, niż gdyby miał być nadal conferencierem i... kaznodzieją (jak to bywało w „Stańczyku"). Szkoda tylko, że zawsze tak figlarnie i łobuzersko uśmiechniętą buzię „quiproquowskiej" muzy wykrzywił tym razem niepotrzebnie grymas, jak gdyby zapożyczony z dawnego „Stańczyka": monolog „nastrojowy" p. Borońskiego. Satyra nie powinna przybierać tragicznych póz, bo gest Kassandry wcale jej nie przystoi.

Na czoło wykonawców, z których wszyscy zasługują na najgorętszy poklask, wysunął się p. Bodo, który w każdej z trzech ról był znakomity i wykazał wszechstronność swego talentu. Do stałego zespołu czarujących pań przybyły dwie nowe „gwiazdki": pp. Orchowska i Piaskowska. Jeżeli i pod tym względem może być jeszcze „lepiej" — „Qui-pro-quo" zamieni się wkrótce w raj Mahometa.

Delta.

KINA WARSZAWSKIE

„ŚWIATOWID."

„Intryga i miłość."

Po okresie poszukiwań i eksperymentów, film niemiecki zdradza jakgdyby pewne zmęczenie. Szczególnie daje się to zauważyć w obrazach historycznych, gdzie operuje się ciągle raz osiągniętemi zdobyczami artystycznemi i technicznemi. W historji kina mają one swą niezaprzeczoną wartość, nużące jest jednak to, że wszystko z góry da się przewidzieć. A więc doskonale wyreżyserowane tłumy, drobiazgowe opracowanie szczegółów. Werner Krauss niezmiennie w roli „czarnego charakteru" i t. p. Wszystko to odnosi się również do „Intrygi i miłości". W każdym razie obraz jest dobry i interesuje choćby ze względu na samą treść.

Ciekawe jest czy nasze wytwórnie pomyślą kiedy o filmowem zrealizowaniu arcydzieł naszych romantyków! **St. H.**

„PALACE."

Charlie Chaplin.

„Palace" otwiera sezon 4-ema farsami „króla śmiechu". Nie są to jeszcze najlepsze obrazy Chaplina, jednakże z tych jakie widywaliśmy w Warszawie dotychczas dają pojęcie najbardziej zbliżone o właściwościach jego talentu. Widzimy więc charakterystyczny chód pingwina, który dając pozór niezdarności stanowi tem jaskrawszy

rekcją znakomitego artysty, p. Antoniego Fertnera, wypadła dość blado. P. Fertner jest bezkonkurencyjnym komikiem, ale w farsie pp. Nowiny i Tatarkiewicza nie miał pola do popisu. Trzeba stwierdzić, że wybór tej farsy się powiódł nowemu kierownikowi literackiemu. „Szukajcie murzyna!“ to pozór farsy francuskiej z kilkoma niezłymi dowcipami. Ten sceniczny pozór nie uwiódł publiczności warszawskiej. Pozatem wykonawcy nie umieli mieć humoru, ani dowcipu. Cała prasa przyjęła sztukę i interpretację bardzo chłodno.

W Komedji.

Przemiły i wprost rozkoszny pan Grabowski króluje w „Dniu cudów“, lekkiej, dowcipnej, wesołej komedji paryskiej, która w stolicy świata była oklaskiwana przez dwieście wieczorów z rzędu. P. Mirande pastwi się śmiechem nad lekarzem i aptekarzem, ale głównego bohatera sztuki, młodego aptekarczyka pieści śmiechem i honoruje. Rozumiemy autora, patrząc na p. Grabowskiego. P. Grabowski podbija wszystkie serca. Dla niego w „Komedji“ jest pełno.

Nie opowiemy treści „Dnia cudów“, aby nie psuć wrażenia przyszłym spektatorom, którym niespodzianka akcji jest droga. Niechaj nam wierzą na słowo, że pp. Mirande i Grabowski warci są, aby im poświęcić wieczór.

P. Janusz dobrze wyreżyserował „Dzień cudów“, a w drugim akcie otrzymujemy przegląd tualet damskich.

W Wodewilu.

Wielki tryumf artystyczny odniosła p. Kazimiera Niewiarowska w prześlicznej operetce Falla p. t. „Madame Pompadour“. Już dawno nie widziała Warszawa tak świetnej operetki i tak znakomitej kreacji, jak ta, którą p. Niewiarowska daje w postaci wszechwładnej faworyty Ludwika XV-ego. Na tle czarownej muzyki, piękny śpiew i mistrzowska gra aktorska tej olśniewającej gwiazdy. A w dodatku p. Niewiarowska wygląda, jak drogocenne cacko wykwintnej sztuki osiemnastego wieku. Jest zachwycająca i dowcipna i w każdym kostjumie powabniejsza! Obok niej świeci wdziękiem i krzepnącym talentem p. Janina Sokołowska. Główne role męskie spoczywają w tak niezawodnych — powiedzmy — rękach, jak pp. Redo, Szczawiński i Morozowicz.

Widownia grzmi od oklasków. Madame Pompadour króluje ponownie, w dwudziestym wieku, i tym razem ku najpowszechniejszemu ukontentowaniu.

——⊙——

TEATRZYKI

„Qui-Pro-Quo.“

„Będzie lepiej!“

Zapowiedź ta, niestety, nie wyszła z pałacu przy Krakowskiem Przedmieściu. Optymistyczny okrzyk „będzie lepiej!“ rozbrzmiał z podziemi Luxenburga i zwołuje codziennie tłumy, chcące te magiczne słowa

usłyszeć na własne uszy. Może istotnie będzie lepiej, skoro istnieją jeszcze tacy przemili wesołkowie, którzy nawet rzeczy prawdziwie smutne umieją pokazać z wesołej strony, a chociaż ich śmiech jest często zjadliwy, jednak ukłucia tej broni więcej łaskoczą niż ranią. Przegląd satyryczny naszych stosunków politycznych i społecznych jest w większości numerów tak dowcipny i wesoły i tak znakomicie wykonany, że nie zdoła go zepsuć nawet śpiew (tak!) p. Jastrzębca, o którym jednak już można powiedzieć, że „będzie lepiej", jeżeli będzie grywał dyplomatów, niż gdyby miał być nadal conferencierem i... kaznodzieją (jak to bywało w „Stańczyku"). Szkoda tylko, że zawsze tak figlarnie i łobuzersko uśmiechniętą buzię „quiproquowskiej" muzy wykrzywił tym razem niepotrzebnie grymas, jak gdyby zapożyczony z dawnego „Stańczyka": monolog „nastrojowy" p. Borońskiego. Satyra nie powinna przybierać tragicznych póz, bo gest Kassandry wcale jej nie przystoi.

Na czoło wykonawców, z których wszyscy zasługują na najgorętszy poklask, wysunął się p. Bodo, który w każdej z trzech ról był znakomity i wykazał wszechstronność swego talentu. Do stałego zespołu czarujących pań przybyły dwie nowe „gwiazdki": pp. Orchowska i Piaskowska. Jeżeli i pod tym względem może być jeszcze „lepiej" — „Qui-pro-quo" zamieni się wkrótce w raj Mahometa.

Delta.

KINA WARSZAWSKIE

„ŚWIATOWID."

„Intryga i miłość."

Po okresie poszukiwań i eksperymentów, film niemiecki zdradza jakgdyby pewne zmęczenie. Szczególnie daje się to zauważyć w obrazach historycznych, gdzie operuje się ciągle raz osiągniętemi zdobyczami artystycznemi i technicznemi. W historji kina mają one swą niezaprzeczoną wartość, nużące jest jednak to, że wszystko z góry da się przewidzieć. A więc doskonale wyreżyserowane tłumy, drobiazgowe opracowanie szczegółów. Werner Krauss niezmiennie w roli „czarnego charakteru" i t. p. Wszystko to odnosi się również do „Intrygi i miłości". W każdym razie obraz jest dobry i interesuje choćby ze względu na samą treść.

Ciekawe jest czy nasze wytwórnie pomyślą kiedy o filmowem zrealizowaniu arcydzieł naszych romantyków! **St. H.**

„PALACE."

Charlie Chaplin.

„Palace" otwiera sezon 4-ema farsami „króla śmiechu". Nie są to jeszcze najlepsze obrazy Chaplina, jednakże z tych jakie widywaliśmy w Warszawie dotychczas dają pojęcie najbardziej zbliżone o właściwościach jego talentu. Widzimy więc charakterystyczny chód pingwina, który dając pozór niezdarności stanowi tem jaskrawszy

kontrast z istotną niesłychaną wprost zręcznością, groteskowość postaci, niezmiernie zabawną minę niewiniątka przy płataniu największych figli, niczem niewzruszony spokój twarzy, zachowywany nawet przy wykonywaniu najszybszych ruchów (znów więc komizm polega na kontraście) i t. d. Z czterech fars, nie mających zresztą żadnej pretensji do sensu, najśmieszniejsza jest ucieczka z więzienia. Pomimo pewnych indywidualnych właściwości Chaplina, rodzaj jego humoru jest tak nawskroś amerykański, że na innem tle wprost nie da się pomyśleć. Chcielibyśmy zobaczyć w Warszawie Chaplina w jego najlepszej roli „The Kid". Może „Palace" nam to ułatwi? **St. H.**

Kino „Luna"

dbała o pierwszorzędne obrazy, demonstruje obecnie arcyciekawy film, osnuty na tle życia rybaków w Holandji, gdzie nad przepięknem wybrzeżem morskiem i na samem morzu odbywa się akcja pełna niewypowiedzianych momentów gry świetnych artystów tej miary jak: Marja Leyko, Ria Jendo, Rudolf Rohden i innych. Ilustracja muzyczna podnosi nastrój wyświetlanego obrazu.

Kronika.

Boski Aretino.

Na nasze wystawy księgarskie wszedł nowy tom przekładów pism znakomitego Włocha szesnastego wieku, „boskiego", jak się sam nazywa, Aretina. Tom nosi tytuł „Swawola kobiet zamężnych" i nie powinien być czytany przez panienki.

Film niemiecko-amerykański. W początkach września miała miejsce w New Yorku ciekawa premjera, będąca rezultatem związku dwóch największych pionierów w dziedzinie kinematografu: Niemiec i Ameryki. Wyświetlano film p. t. „Rosita", do którego zdjęć dokonano w Ameryce, według scenarjusza niemieckiego, pod reżyserją Ernesta Lubitscha i z Mary Pickford w głównej roli.

Filmy murzyńskie. Murzynom znudziło się grywać w filmach amerykańskich role służących i piastunek. Aczkolwiek nierzadko typy te były przez autorów scenarjuszy wyposażone w cechy wielce dodatnie — jednakże aktorzy-murzyni wolą odtwarzać bohaterów choćby mniej sympatycznych, ale zajmujących na drabinie społecznej wyższe stanowisko. Ponieważ są to marzenia nie do zrealizowania (przynajmniej dotychczas) w wytworniach amerykańskich, murzyni tworzą własne obrazy, wykonywane tylko murzyńskiemi siłami. Jednakże nie wprowadzają oni do filmu żadnego nowego pierwiastku, gra ich jest zbyt jaskrawa, a brak wybitnych reżyserów utrudnia wyprowadzenie filmu murzyńskiego poza granice „czarnej dzielnicy".

REPERTUAR
WIDOWISK W WARSZAWIE
od poniedziałku d 1 go X.
do niedzieli dn. 7 go X. 1923 r.

Miejskie Teatry

TEATR WIELKI

Poniedziałek 1 października o godzinie 8 wieczor
Rigoletto.
Wtorek 2 października o godzinie 8 wieczorem
Lohengrin
Sroda 3 października o godzinie 8 wieczorem
Pan Twardowski.
Czwartek 4 października o godzinie 8 wieczorem
Pajace i Verbum nobile.
Piątek 5 października o godzinie 8 wieczorem
Tosca.
Sobota 6 października o godzinie 8 wieczorem
Eugenjusz Onegin.
Niedziela 7 października o godzinie 3 po południu
Balet.
O godz. 8 wiecz.
Aida.

Teatr Rozmaitości
(gmach teatru im. Bogusławskiego)

Poniedziałek 1, środa 3, czwartek 4, sobota 6 i niedziela 7. października o godz. 8 wiecz.
Poskromienie złośnicy
komedja w 3 akt. z prologiem. W. Szekspira.
Wtorek 2, i piątek 5 października o godz 8 w. przedstawienia popularne
Wielki Fryderyk.
Sobota 6 października o godz. 3½ popoł.
Zemsta
A. Fredry.
Niedziela 7 października o godz. 3½ popoł.
Wieczór trzech króli.

TEATR LETNI

Codziennie
Szukajcie murzyna
komedja krotochwilna Hulewicza i Tatarkiewicza.

TEATR POLSKI
Warszawa — ul. Karasia Sezon—1922-23
pod dyrekcją dyr. **Arnolda Szyfmana**

Codziennie
Eskapada
komedja w 3 akt. G. Trarieux.

Cennik ogłoszeń

w tygodniku

„TEATR i KINO"

1/1 strona na okładce lub w tekście	mk.	900,000
1/2 strony w tekście	„	500,000
1/3 „ „	„	300,000
1/4 „ „	„	250,000
1/5 „ „ (margines)	„	200,000

Przy 10 krotnem ogłoszeniu udziela się 10% rabatu.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja tygodnika

Poznań Fr. Ratajczaka 11a

oraz reprezentant na Warszawę

Edward Topolski,

Warszawa, Hoża 40 m. 25.

REPERTUAR
WIDOWISK w POZNANIU

TEATR (OPERA) WIELKI

Poniedziałek 1 październ. o godz. 7½ wiecz.

Piękna Helena

opera komiczna w 3 akt. Offenbacha.

Wtorek 2 i niedziela 7 października o g. 7½ w.

Zamarłe oczy

opera w 2 akt. z prologiem Eugenj. d'Alberta.

Środa 3 październ. o godz. 7½ wiecz.

Faust

opera w 5 akt. Gounoda.

Czwartek 4 października o g. 7½ wiecz.

Opowieści Hoffmanna

opera w 3 akt. J. Straussa

Piątek 5 i Sobota 6 października o godz. 7½ w.

Dzwony Kornewilskie

opera komiczna w 4 akt. Planquette'a.

TEATR POLSKI

Dyr. B. Szczurkiewicz **Dyr. R. Żelazowski**

Poniedziałek 1 październ. o godz. 7½ wiecz.

Raj zamknięty

komedja w 3 akt Coolus'a i Hennequin'a

Wtorek 2, środa 3, czwartek 4, piątek 5 i niedziela 7 października o godz. 7½ wiecz

Świt, dzień i noc

komedja w 3 akt. Niccodemiego.

Sobota 6 października o godz. 7½ wiecz.

Lekkomyślna siostra

komedja w 3 aktach Włodzim. Perzyńskiego.

TEATR NOWY
im. Heleny Modrzejewskiej

ul. Dąbrowskiego 5.

Poniedziałek 1, wtorek 2 i piątek 5 października o godz. 7½ wiecz.

Moja panna mama

komedja w 3 akt. Ludwika Verneuile'a, przekład Wł. Perzyńskiego.

Środa 3, czwartek 4, sobota 6 i niedziela 7 października o godz. 7½ wiecz.

Pojedynek amerykański

komedja w 3 aktach Karola Slobody.

———o———

Za red. M. Bogusławski.
Wydawcy: Wielkopolskie Biuro Czasopism i Reklamy Artystycznej Dell'Arte.

Odbito w Drukarni Robotników Chrześcijańskich Tow. Akc. w Poznaniu.